

Posłaniec

Audienca u Szefa. Ta myśl napawała niepokojem. Zazwyczaj wszelkie polecenia wydawane były telepatycznie, gdy jednak chodziło o poważniejszą sprawę, na przykład rozmowę, wtedy Szef wzywał do stawienia się u Niego osobiście.

Dziś dostałem polecenie stawienia się przed Jego oblicze. Nie zwlekając udałem się tam. Jeśli nawet ja potrafię poruszać się szybciej niż wicher, to nic nie potrafi powstrzymać samego Szefa. Jego Duch w jednej chwili wydaje polecenia na przyszłość, przeszłość, teraźniejszość, niezależnie od miejsca we Wszechświecie.

Przeglądałem całe moje ostatnie zachowanie i nie zauważyłem, bym w czymś uchybił na służbie. W drzwiach spotkałem się w No-
elem.

– Szef w dobrym nastroju? – zagadnąłem zwyczajowo.

– A był kiedyś w złym? – odpowiedział pytaniem na pytanie i śmignął w czasoprzestrzeń. Widać miał pilne zlecenie. Otworzyłem drzwi i wszedłem do pomieszczenia. Owionęły mnie dymy

kadzidlane, jednak jakby rozrzedzone. Widać, brak tych, co jeszcze mają chęć wstawiać się za kogokolwiek...

Światłość, tak miła dla moich oczu oświeciła mnie i nasyciła błogim spokojem.

– Wzywaleś mnie, Panie.

– Tak, Szuahu. Chcę znać twoją opinię na temat pewnej osoby. Jest twoją podopieczną.

– Panie – skłoniłem głowę. – Twoja opinia jest najdoskonalsza, gdyż wiesz to, czego nawet aniołowie nie wiedzą...

Szef przerwał mi moje rozpoczynające się peany gestem dłoni.

– Jakakolwiek jest moja opinia, chcę znać twoją.

Zastanowiłem się. Czyżby nastąpiły jakieś ważne decyzje dotyczące mojej podopiecznej? Chyba nie pozbawią mnie opieki nad nią? Przestraszyłem się. To prawda, że ostatno zajmowały mnie inne sprawy, przez co mniej zagłębiałem się w jej życie, ale była to chyba najmiłsza z wszystkich osób, jakie miałem do tej pory pod swoją opieką! W żadnym wypadku nie mogę dopuścić do naszego rozstania.

No tak... ale co powiedzieć Szefowi, by jakimś głupim, nierozważnym słowem nie spowodować niechcianych następstw?

– Czy chodzi Ci Panie o całokształt jej zachowania, czy też może o ostatnie dni? – próbowałem wybadać grunt, na którym stałem.

– Jesteś z nią w każdej chwili... no, prawie, znając twoją awanturniczy charakter – Wszechwiedzący uśmiechnął się lekko, acz wyrozumiale. – Powiedz więc, co o niej myślisz.

Przypomniały mi się jej wczorajsze łzy szybko i gwałtownie ocierane, by nikt nie dojrzał jej smutku, skrywane pod promiennym uśmiechem, jakim darzyła przychodzących do niej z problemami.

– Jest bardzo wrażliwą i dyskretną osobą – oceniłem w lekkim zamyśleniu. – Jest skromna, przez to posiadająca ogromną mądrość, której sama przez nadmiar skromności nie zauważa.

Wspomnienia jawiły mi ją jako nieśmiałą, ale pełną życia i wigoru dziewczynę. Włosy mokre od deszczu lepiły się jej do twarzy, kiedy z niepokojem chodziła po skwerze oczekując na spóźniającego się gościa.

– Jest całym sercem oddana ludziom i Tobie, Panie. Czemu jednak mnie o nią pytasz?

– Doszły mnie ostatnio oskarżenia, jakobym ograniczył Swoją miłość do niej, co więcej, że brakło mi dla niej cierpliwości.

Skrzydła podniosły mi się lekko w ogromnym zdziwieniu.

– Kto, Panie śmie takie kalumnie rzucać? – krzyknąłem zapałczywie. Dłoń już mi sięgnęła ku przypiętemu do pasa mieczowi.

– Powiedz, Panie, a w strzępy rozsiekam!

– Powstrzymaj się, mój gwałtowniku – SzeF uśmiechnął się. – Bo przypadkiem uczynisz krzywdę, zamiast rzecz obrócić ku dobremu. Tym kimś jest twoja podopieczna.

Zamarłem. Jak to? Dlaczego?

SzeF spojrział na mnie z miłością i rzekł:

– Czy chcesz, by takie mniemanie utrwaliło się w jej umyśle? Czy chcesz, by ta, którą przed chwilą ukazałeś mi w tak dobrym świetle, do utraty życia gnębiła się jadem takiego podejrzenia?

– Nie, Panie – szepnąłem.

– Idź więc do niej niezwłocznie i powiedz jej o mojej Miłości do niej. Opisz jej wszystko, co dla niej przygotowałem. Powstrzymuj demona, który pragnie ją zagarnąć. I czuwaj nad nią, bo jeśli twoja opieszałość doprowadzi do tego, że zamknie się na jakiegokolwiek słowo pociechy, wtedy stracisz swoją podopieczną. Pamiętaj. A teraz idź!

Schyliłem głowę w pokorze. SzeF znów miał rację. Trzeba mi kopnąć się do mojej podopiecznej i to bez chwili zwłoki! Tylko co ja jej powiem? Jak w kilku słowach opisać coś tak niewyobrażalnie wielkiego? Przecież ja sam nie potrafię zrozumieć, czemu SzeF jest dla mnie tak pobłażliwy, mimo wielu moich niedociągnięć...

Naraz uśmiechnąłem się. Wiem, co zrobię. Wyhamowałem trochę w locie i zagłębiłem się w atmosferę Ziemi. Ponad miastem zapadał zmierzch. Ciemniejąca ziemia rozjarzyła się światłami, gwar i harmider powoli cichnął. Zatrzymałem się przy jej oknie. Ubrana w niebieski podkoszulek przygotowywała sobie kolację. Ciemne włosy opadały jej na czoło skrywając oczy. Naraz podniosła głowę, ale szum przejeżdżającego samochodu zamilkł w oddali, więc wróciła do krojenia pomidora. Jej ruchy spowolniały, wreszcie

odłożyła nóż i usiadła. Dłońmi zakryła twarz. Widać było, że nadmiar smutku pozbawiał ją nawet apetytu.

– Zaniedbałem cię – pomyślałem smutno – pozwoliłem ci na zwątpienie. Niedobry ze mnie anioł...

Podszedłem do niej blisko i objąłem ją.

– Przepraszam – szepnąłem jej w ucho. – Jeśli ty miałabyś nie zasługiwać na miłość i Boże miłosierdzie, to co ja powinienem powiedzieć o sobie? Proszę, pozwól mi dać ci nadzieję, pozwól mi kochać cię!

Ramiona, które obejmowałem wstrząsał cichy szloch. Po chwili usłyszałem zrozpaczony szept:

– Boże, czy ty mnie jeszcze chcesz?

Nagły ból jakby mnie rozerwał na dwoje. Naraz poczułem smród dobiegający spod drzwi i sarkastyczny śmiech. Obejrzałem się. Demon zwątpienia stał z wyciągniętym mieczem, a potężniał w miarę, gdy wiara dziewczyny upadała. Jeśli tak dalej pójdzie, przegram batalię!

– Błagam! – krzyknąłem rozpaczliwie – nie daj się! Potrzebuję cie chyba bardziej, niż ty mnie! Nie poddawaj się, Kocham cię!

Dziewczyna podniosła głowę. Teraz wszystko zależało od jej decyzji. Demon pewny zwycięstwa podchodził coraz bliżej...

.....

.....Zwyciężymy???

– Twój Anioł Szuah

Klub upadłych aniołów

Wiesz, jak czuje się człowiek, od którego odszedł anioł? Spojrzała na mnie badawczo, a potem zaciągnęła się papierosem. Siwy, półprzezroczysty dym wpieryw owinał się wokół jej nozdry, a potem rozwiął się w okolicy siwiejących już lekko, kasztanowych włosów. Strzepnęła popiół i zamówiła kawę. Milczałem. Czekałem na dalszy ciąg. Westchnęła, a potem zapytała z ironią:

– A może ty nie wierzysz w aniołów?

– Nieważne jest to, w co ja wierzę, ważne jest, że ty wierzysz...

– Nie do końca – przerwała dość impulsywnie. – Nie ma sensu, bym mówiła o czymś, co w gruncie rzeczy doprowadzi cię do potraktowania mnie jak wariatkę.

– Ok., załóżmy, że wierzę. Nie jesteś wariatką. Mów dalej.

Zamieszała łyżeczką kawę i upiła łyk. Skrzywiła się, a potem podjęła opowieść.

– Zazwyczaj nie zwraca się uwagi na coś tak prozaicznego, jak codzienna obecność niewidzialnego opiekuna. Przyznaję, że jest to

nawet wygodne, nie wiedzieć, że obok ciebie stoi ktoś, kto cię stale obserwuje. Inaczej byłoby to bardzo krępujące, gdybyś chciał skorzystać z ustronnego miejsca, ewentualnie zapragnął zaspokoić inne, dość intymne potrzeby. Niewidzialność przynosi jednak pewien minus. Otóż w pewnym momencie przestaje się w to... wierzyć.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Zdawało mi się, że wierzysz w istnienie aniołów...

– Bo wierzę. Ale jeśli będziesz mi przerywać, to nic nie zrozumiesz.

Zmilczałem tę uwagę i czekałem, aż wyjaśni mi pozorną sprzeczność. Ona jednak ciągnęła swą opowieść z uporem pół-przytomnego pijaka, któremu zdaje się, że od jego poczynań zależy co najmniej istnienie baru, w którym co wieczór przesiaduje.

– O swoim dzieciństwie nie będę ci opowiadać, bo nie ma o czym. Ot, zwykły sielankowy pejzaż z wiklinowym fotelem w głębi ogrodu. Mój ojciec starał się zapewnić rodzinie w miarę dostatnie życie, niestety, kosztem utraty z nią kontaktu. Prowadził mały biznes w rodzinnym miasteczku, potem udało mu się nawiązać kontakt z dobrze prosperującą firmą w sąsiednim mieście. Pamiętam, gdy cieszył się jak dziecko, kiedy udało mu się zrealizować pierwsze zamówienie. Tego dnia urządził grilla w ogródku, na który zaprosił nie tylko rodzinę, ale i większość przyjaciół. Byłam wtedy już na studiach, wszystko zapowiadało się wspaniale, nawet matka przestała narzekać, zaczęła dbać o siebie...

Kobieta zamilkła i zapatrzyła się w ciemny osad kawy na ściankach filiżanki. Nie chciałem przerywać. Zmarszczone z nagła brwi wskazywały, że wspomnienia przestały być miłe.

– No tak, ale miało być o aniołach – westchnęła.

– Twoi rodzice byli religijni – odpowiedziałem zachęcająco.

– Aż za bardzo. Podejrzewam, że był to raczej wpływ miasteczka, w którym mieszkali. Trzy kościoły na czterystu mieszkańców, dwa cmentarze i kaplica przyszpitalna – to dobre podłoże do gruntownego rozwoju sfery duchowej. Nie wspomnę jeszcze o corocznych najazdach wakacyjnych grup protestanckich, usiłujących swoją ekspresywną religijnością powiększyć swoje szeregi. Niektórym nawet się to udało i w miasteczku zawiązała się mała grupa chrześcijańska. Moja rodzina raczej ich unikała, wychodząc z za-

łożenia, że skoro Bogu nie przeszkadza ich dotychczasowa wiara, więc nie ma potrzeby jej zmieniać na inną.

– Oprócz ciebie...

– Tak, ja wyłamalam się z rodziny. Pomogła mi w tym koleżanka ze studiów. Najpierw zainteresowała mnie religią hinduistyczną, potem ruchem New Age. Zaczęłam lepiej przyglądać się temu, co mnie otacza, tak widzialnemu, jak niewidzialnemu. I wtedy zwróciłam uwagę...

– ...na aniołów?

Uśmiechnęła się. To zabawne, pomyślałem, kiedy uśmiecha się, to zanika w niej starcze zgorzknienie objawiające się ciemną smugą pod piwnymi oczami. Staje się wtedy jeśli nie ładna, to przynajmniej interesująca. Naraz zapragnąłem zabrać ją z tego pubu i zawieźć gdzieś na łąkę, nad wodę, aby zachować w niej tę rozbuźzoną radość. Zawołałem kelnera i zapytałem ją, czy jest chętna na coś więcej, niż kawa. Odmówiła, więc poprosiłem o rachunek. Po tem zachęciłem ją:

– Mów dalej.

– O aniołach?

Uśmiechnąłem się.

– Może nie o aniołach, ale o twoim aniele.

– No tak, masz rację. O aniołach można mówić godzinami, roi się od nich nie tylko w literaturze chrześcijańskiej. Niestety, za zwyczaj jest to wydumana ideologia, nie sprawdzona w rzeczywistości. Ja miałam to szczęście, że mój anioł zawsze starał się dawać mi dowody swojej obecności. „Łuty szczęścia”, udane sprawy, nieoczekiwane zwroty akcji, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pomagały mi w życiu, wszystko to cieszyło i sprawiało, że miałam za co dziękować niewidzialnemu pomocnikowi.

– Pomocnikowi? – zażartowałem. – Doświadczyłaś, że to rodzaj męski?

Odpowiedziała na żart uśmiechem, ale nie skomentowała go. Widać, temat był dla niej zbyt poważny, by żartować.

– Kiedy byłam małą, często uczono mnie, że każdy ma niewidzialnego opiekuna, kogoś, kto nie tylko strzeże w niebezpieczeństwie, ale również przedstawia Bogu prośby. „Aniele Boży, stróżu

mój, ty zawsze przy mnie stój...” – to klepałam prawie na pamięć przy swoim łóżeczku. Było to jednak dla mnie taką samą utopią, jak umiejscowienie Wyspy Wielkanocnej. Owszem, gdzieś tam na mapie widniała, ale nigdy jej nie widziałam na oczy... Po cóż więc prosiłam Anioła Stróża, by był ze mną, skoro w sekundę po modlitwie nawet o tym nie pamiętałam?

– Mów dalej...

Kobieta zamilkła. Wpatrzyła się w wilgotną od deszczu szybę kawiarni, jakby w strugach spływającej wody rozpoznawała cienie przeszłości. Biały parkan wokół szerokiej połaci trawy, na której leżała porzucona kosiarka. Doniczki ze świeżo przesadzonymi kwiatami. Białe firanki poruszane ogrzanym słońcem powietrzem. I ten pies, potwornie hałasujący pies, ujadający przed drzwiami do garażu. Pomyślała, że wprawdzie powinna uspokoić psa, a potem wprowadzić kosiarkę do komórki. Zastanowiła się, dlaczego ojciec nie uwiązał psa przy budzie. Znowu sąsiedzi będą narzekać, że biega po ulicy...

Pies nie dawał się odciągnąć od drzwi garażu. Skuczał i wyrwał się, jednocześnie patrząc jej żałośnie w oczy. W końcu zaniepokojona tym uchyliła drzwi i weszła do środka.

Pierwszą rzecz, jaką zauważyła, to gruby, zwalisty cień wiszący pół metra nad ziemią.

– To był twój ojciec?

– Może się uśmiejesz, ale jedyne uczucie, jakie mnie wtedy ogarnęło, to zdumienie, jak taka cienka lina potrafi utrzymać tak wielkie ciało. Potem spojrzałam mu w twarz i przeraziłam się. Oczy ojca prawie wychodziły z orbit, pokryte matowym bielmem, skóra twarzy była obrzmiała i sina. Wyglądało to tak potwornie i obco, że zaczęłam krzyczeć. Na nieszczęście mój krzyk usłyszała wracająca ze sklepu matka. Porzuciła zakupy w przedpokoju i przybiegła do garażu. Kiedy go zobaczyła, to myślałam, że będę miała dwa trupy. Musiałam natychmiast zapomnieć o sobie i moich odczuciach. Zająłam się matką, a raczej tym, co się z niej zrobiło. Załatwianie leczenia depresji w szpitalu, potem walka z opinią małego miasteczka, jednako traktującego chorego z wyboru i chorego z doświadczeń losowych – to wszystko tak mnie wykończyło psychicznie, że prawie znalazłam się tam razem z matką. W tym czasie zjawił się Konrad...

- Kto to taki?
- Mój mąż. A raczej... były mąż.
- Jesteś rozwiedziona?
- Odszedł.

– Nie chcesz o tym mówić? – zapytałem, bo głos jej stwardniał i zapadła dłuższa chwila milczenia. Pokręciła przecząco głową, w sumie nie wiedziałem, czy oznacza to niechęć do mówienia, czy wręcz odwrotnie. Sięgnąłem po płaszcz i zapytałem:

- Może się przejdziemy?

Dopiła zimną już kawę i posłusznie wstała od stolika. W proggu obejrzała się i lekko roześmiała:

- I pomyśleć, że przyszedłam tu po to, żeby się upić...
- Nic straconego – zażartowałem. – Zawsze możemy zawrócić.

Popchnęła wahadłowe drzwi i wyszliśmy w deszczowy wieczór. Neony odbijały się w mokrym asfalcie, samochody z szumem przecinały przecznice. Podniosłem kołnierz.

– Niezbyt dobra pora na spacer. Niedaleko zaparkowałem samochód. Może pojedziemy do mnie?

Spojrzała z lekkim niedowierzaniem w oczach, więc od razu ją zapewniłem:

– To żadna zdrożna propozycja. Po prostu jest to jedyne suche i ciepłe miejsce, jakie mi przyszło do głowy. Równie dobrze możemy pochodzić po mieście, tylko po co moknąć bez potrzeby?

Zastanowiła się i kiwnęła głową. W bocznej alejce otworzyłem drzwiczki mojego Renaulta i zaprosiłem ją do środka. Kiedy usiadła i zapięła pasy, odwróciłem się do niej z uśmiechem.

- Więc dokąd jedziemy? Do mnie, czy też może do ciebie?
- Nie chcę wracać do domu. Nie jest mi w nim teraz przyjemnie.
- A więc do mnie – zdecydowałem i zapaliłem silnik. Przez dłuższą chwilę obserwowałem ją kątem oka, jak milczała wpatrzona w migające na przedniej szybie wycieraczki.

Zaparkowałem przed kamienicą, w której wynajmowałem mieszkanie. Gdy przechodziłem obok drzwi gospodyni, te jak zwykle zgrzytnęły lekko. „Oto i mój anioł stróż” – pomyślałem z lekką ironią. Samotność starszych kobiet leczona terapią podglądactwa i plotkarstwa. Wzruszyłem ramionami i otworzyłem pokryte łuszczącym się, brązowym lakierem drzwi.

– Nie jest tu zbyt pięknie – burknąłem, rzucając klucze na komódkę. – Ale przynajmniej sucho. Zaparzyć ci herbaty?

Kiwnęła głową, poszedłem więc do kuchni. Kobieta spacerowała po pokoju przeglądając półkę z książkami, podnosząc od czasu do czasu do oczu jakiś drobiazg.

– Nie ma co oglądać – zawołałem, zalewając imbryk wrzątkiem. – To wszystko już tu było, jak się wprowadziłem.

Odwróciła się i przyjęła ode mnie tacę z herbatą. Usiedliśmy przy niskim stoliku, ogrzewając dłonie gorącą szklanką. Milczałem chwilę, a potem podjąłem niedokończony temat.

– Co ma śmierć twego ojca do aniołów?

– Może nie ma nic? – przekrzywiła filuternie głowę. Widać było, że napięcie, jakie było w niej gdy weszła do mieszkania, zaczęło się rozluźniać.

– W porządku, jak nie ma, to nie ma – zgodziłem się. – Opowiadaj dalej.

– Żartowałam – pośpiesznie sprostowała. – Właśnie po śmierci ojca zaczęłam odczuwać szczególny z nimi kontakt. Zwłaszcza... z jednym. Nie śmieję się – zastrzegła mimo, że nawet nie dałem oznaki, że mnie to rozbawiło.

– Na czym to polegało?

– Co takiego?

– No, ten... szczególny kontakt.

– Wspominałam ci, że poznałam wtedy Konrada. Był opiekunem jednej protestanckiej grupki. Miał prawdziwą charyzmę, kiedy przemawiał, to tak, jakby dotykał najczulszych strun twojej duszy. Podejrzewam, że gdyby został psychoterapeutą, zbili by na tym niezłą kasę. Niestety, ideologia chrześcijańska odcisnęła na nim takie piętno, że nie wyobrażał sobie innego sposobu na życie, jak tylko nauczać i pocieszać strapione owieczki.

Sarkazm, jaki był w jej głosie, dobitnie świadczył o tym, jakie w obecnej chwili miała o tym zdanie. Nie przerywałem, gdy szesroko opisywała spotkania, w jakich brała udział, kiedy Konrad poczuł obowiązek zaopiekować się nią i jej matką.

Patrzyłem na nią, a herbata stygła, pokrywając delikatną warstwą rosy brzeg szklanki. W pewnym momencie dostrzegła mój wzrok i zmieszana się.

– Chyba cię nudzę...

– Nie nudzisz. Gdybyś nudziła, powiedziałbym ci o tym.

– Konrad nie poprzestał na opiece duchowej, ale pewnego dnia poprosił mnie o rękę. Wtedy po raz pierwszy dotknęły nas kłopoty. Mnie zaczęły dręczyć koszmary, przygotowania do ślubu szły jak z kamienia, raz po raz coś się rozbijało i psuło. W końcu Konrad nie wytrzymał i okazał swoją złość. I to w taki sposób, o jaki go nie podejrzewałam. Gdybym go lepiej znała... – dłoń zacisnęła się na szklance tak, że aż zaczęła się trząść, a ja miałem obawy, że szkło rozprysnie się w kawałki.

Tak jak lustro, promieniście zarysowane, zasypujące odłamkami ziemię.

Brzdęk rozprzestrzeniający się dalekim echem zadzwonił o szyby kuchni, w której stali naprzeciwko siebie, jak dwaj przeciwnicy. Z tym, że kobieta z trudem powstrzymywała się od płaczu.

– Nie powiesz mi, że nie ma w tym nieczystej siły! – krzyknął Konrad, wymierzając oskarżycielsko palec w stronę pękniętej tafli szkła. Dosłownie przed chwilą, gdy przeglądał się w niej, poprawiając krawat przed wyjściem do kościoła, lustro pękło na dwoje, wykrzywiając pociesznie jego odbicie.

– Może lustro było stare – rozplakała się, zbierając kawałki z podłogi i uważając, by się nie poranić.

– A może demon jest w tym mieszkaniu! – Konrad uparcie trzymał się wizji, jaką wytworzył w swym umyśle. Od dawna podejrzewała go, że brakuje mu dawki czegoś niezwykłego, czegoś, co podniosło by go w jego własnych oczach. Od czasu niefortunnego ślubu, na którym ich družba o mało co nie zginęła w wypadku samochodowym, Konrad jakby poszukiwał wytłumaczenia dla niezwykłych wydarzeń, jakie zaczęły dziać się w ich życiu. Kiedyś, pół roku po ślubie, rozszoszony o coś, chwycił dzbanek i chciał w nią rzucić. Dziwnym trafem dzbanek zamiast poszybować w jej kierunku, zatoczył koło i uderzył go w ramię, zakrwawiając mu koszulę. Spojrzał wtedy na nią dziwnie i nie odważył się więcej tego powtórzyć. Wyglądało, jakby zaczął się jej bać. Nie chciał już podnieść na nią ręki. Zaczęły się za to napaści słowne. Wyzywał ją od córki demona, twierdząc, że jej ojciec powiesił się, oddawszy duszę diabłu. W końcu uwierzyła mu i pozwoliła na odprawienie egzorcyzmów w domu. Matka całe szczęście

przebywała w szpitalu, choć prawdopodobnie, gdyby była przy tym obecna, nawet by nie zareagowała. Kompletna apatia.

– I udało się wypędzić demona? – zapytałem. Potrząsnęła głową.

– Jeśli to był demon, to z pewnością silniejszy od gorliwej wiary Konrada. Jeśli to był duch ojca, to on był tu gospodarzem. I on tutaj rządził. Ale sądzę...

– Tak?

– Podejrzewam, że to był mój anioł. I że był zazdrosny o mnie – kobieta wyrzuciła to wyznanie jednym tchem, jakby bała się, że przerwę jej i nigdy nie powie tego, co leżało jej na sercu. Ja jednak nie miałem zamiaru jej przerywać. Milczałem i patrzyłem na nią. W końcu zapytałem cicho:

– Czy jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

– Nie będziesz się śmiać? – zapytała równie cichym głosem.

– Nie będę.

Westchnęła głęboko, a potem nie patrząc na mnie zaczęła opowiadać:

– Mówiłam ci, że koleżanka zainteresowała mnie angelologią. Razem szukałyśmy duchowych przewodników, pewnego dnia, tak dla żartów, zaproponowała mi zabawę. Miałyśmy przysiąc wierność swojemu aniołowi, jak małżonkowi. Każda swojemu. Właściwie, nie przywiązywałam do tego wielkiego znaczenia, raczej robiłam to dla niej. Była załamana, bo porzucił ją chłopak, którego bardzo kochała. Zrobiliśmy wtedy w naszym pokoju małe misterium ze świecami, suknią ślubną, kwiatami...

Cicha muzyka wypełniła pomieszczenie. Patrzyły na siebie roziskrzonymi oczami, pełne niezwyklej emocji.

– Zaczynij... – szepnęła poprawiając na niej biały welon.

– Ja, Paulina, biorę sobie ciebie za męża – szept unosił się pomiędzy świecami, jak niewidzialny dym. – I ślubuję ci wierność, miłość i to, że cię nie opuszczę... – koleżanka zmieszana spojrzała na nią i gorączkowo zapytała:

– Przecież aniołowie nie umierają, jak więc ma być „do grobowej deski”?

– Ale to może dotyczyć ciebie – parsknęła śmiechem, a potem starając się opanować podpowiedziała: – ...że cię nie opuszczę na wieki...

– Amen – odparła Paulina, a potem podała jej świecę. – Teraz ty.

– Ale ja przecież nawet nie znam swego anioła – żartobliwie broniła się.

– Ale on cię zna dokładnie. Ostatecznie jest z tobą od chwili narodzenia – koleżanka nie ustępowała.

– A może on mnie nie chce? – żartowała nadal, aż zniecierpliwiona Paulina popchnęła ją w stronę prowizorycznego ołtarza.

– Jakby nie chciał, to by już ci dał o tym znać. No, dalej, wypowiedz przysięgę!

– Ja, Magdalena... biorę sobie ciebie za męża... – wzdrygnęła się, bo naraz poczuła, jak coś, lub ktoś dotyka jej dłoni. „To tylko złudzenie” – wytłumaczyła sobie zaraz. – „To przez ten klimat...”

– I ślubuję ci wierność... – odpowiedziała Paulina, ale Magda potrząsnęła przecząco głową. Jeśli już coś ma być, to będzie to jej ślub, a nie Pauliny!

– Aniele Boży, stróżu mój... – dziecinna modlitwa ponownie objawiła swoją żarliwość. – Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż duszy, ciała mego... zaprowadź mnie do żywota... – nagły wiatr otworzył okna i zdmuchnął płomień świec. Paulina krzyknęła ze strachu i pobiegła zapalić lampkę. Magda otworzyła zamknięte oczy i rozejrzała się. Pokój w jaskrawym świetle nie stwarzał już takiego nastroju, jak przedtem. Zaczęła zastanawiać się, czy rzeczywiście poczuła na swym policzku pocałunek, czy było to tylko jej pobożne życzenie.

– Byłaś wtedy przekonana, że naprawdę poślubiłaś anioła?

– Nie byłam. Wszystko składałam na karb atmosfery, jaką wtedy wytworzyłyśmy. Dopiero, kiedy Konrad dostał furii i zaczął „wypędzać demona”... mówię ci, takiej szopki dawno nie było w mieście. Grupa Konrada zadomowiła się na małym gospodarstwie, wykupionym od jednego z wyznawców. Zbudowali tam mały dom modlitwy, zagospodarowali teren. Ja nie chciałam się tam przenieść, tłumaczyłam Konradowi, że muszę zajmować się domem matki, póki jest w szpitalu, że przeniosę się, kiedy matka wróci, co nie zapowiadało się zbyt szybko. Ale kiedy postanowiono odczynić egzorcyzmy...

Magda była załęczniona. Właściwie, to zaplanowała na czas całego obrządku wyjechać do matki, do szpitala, ale Konrad uparł się, że musi mu towarzyszyć jako jego żona i jako członek rodziny, która została „opętana”. Tego dnia szczególnie wysprzątała dom, jakby chcąc tym pokazać, że taki czysty dom nie może posiadać w sobie nieczystego ducha.

– Niepokornym duchom zdepczesz karki – zawodził chórek, co chwila wznosząc ręce w gromkim „Alleluja”. Usiadła w pierwszym rzędzie szukając wzrokiem Konrada. Stał, częściowo zasłonięty kotarą, czekając na swoje wejście. Nie wątpiła, że będzie to jak zwykle tryumfalne wejście. Spojrzał na nią, jego oczy stwardniały, zaczął manipulować przy mikrofonie.

– „Czy on mnie kiedykolwiek kochał?” – zadała sobie w duchu pytanie, ale nie szukała odpowiedzi. Są czasem pytania, na które nie należy odpowiadać. Muzyka ucichła, czas na występ. Wyszedł energicznym krokiem, od razu rozpoczynając potok patetycznych słów, które, po wnikliwym przysłuchaniu się sprowadzały się do jednego frazesu „Alleluja, Pan jest wielki”. Rozejrzała się. Czy tylko ona zauważa pustostowie, jakim on zalewa zebrany tłum? Chyba tak. bo wszędzie widziała zwrócone na niego z nabożną czcią twarze. Znużona przymknęła oczy i pochyliła się. Chciała, aby ktoś, lub coś przerwało te jego okrzyki i wymachiwanie rękami.

– Aniele Boży, Stróżu mój... – zaczęła się bezgłośnie modlić.
– Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi ku pomocy...

Modlitwa, która jej zawsze towarzyszyła, teraz nabrała siły magicznego zaklęcia. Powtarzała ją w kółko, jak swoistą mantrę. Dopiero po chwili poczuła, że dzieje się coś niezwykłego. Podniosła głowę. Zdumieni ludzie, którzy siedzieli obok niej, podnieśli się. Spojrzała za ich wzrokiem. Na środku podium dla mówcy stał Konrad i trzymał się za gardło. Miał usta rozwarłe do krzyku, ale nie mógł wydobyć ani słowa. Patrzył wylupionymi ze strachu oczami na ludzi, którzy nie byli w stanie się poruszyć. Dopiero, gdy zaczął rozpaczliwie machać rękami, podbiegli do niego.

– Szybko, po karetkę! On się dusi! – krzyk poniósł się wśród zebranych. Nie było jednak potrzeby wzywać lekarza. Konrado wi wrócił oddech, jedynie zaczerwieniona twarz wskazywała, że przed chwilą działo się z nim coś złego. Podbiegła do niego.

– Konrad, co się stało, zakrzusiliś się?

Popatrzył na nią z gniewnym przerażeniem, a potem wyciągnął w jej stronę palec:

– Opętana! – krzyknął. – Ten dom i jego mieszkańcy są opętani! Demon chce mi przeszkodzić oczyścić to miasto! Ale Pan mnie wyposażył w moc, abym mógł pokonać złego! Bracia, idźmy wygonić demona! Już czas!

Ludzie porwali się z miejsc. Zepchnęli ją na kraniec tłumu i śpiewając rytmiczne pieśni poszli na miasto, gdzie znajdował się „nawiedzony” dom. Jej dom.

– Kiedy podeszliśmy do domu, jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak piękny, jak w tamtym momencie – kobieta rozmarzonym wzrokiem przesunęła po ścianach pokoju, w którym siedzieliśmy. Dawno już wypiliśmy herbatę i przenieśliśmy się na tapczan. Przytulona do mnie opowiadała wszystko to, co wyryło się w jej pamięci. – Słońce oblewało dach promieniami, że dachówki świeciły się jak złoto. Białe ściany przypominały bitą śmietaną, z rodzynkami okien, bukszpan rosnący w żywopłocie aż prosił się, by go pieszczotliwie dotknąć. To był dom, w którym urodziłam się, wychowałam, gdzie wieczorami uczyłam się z ojcem rozpoznawać gwiazdy. Prawie czułam zapach ciasta pieczonego przez matkę, choć dobrze wiedziałam, że nie ma tam ani matki, ani ciasta. Ale ten dom, to było coś, co wiązało się z wszystkimi moimi wspomnieniami. A ci ludzie przyszli... i zniszczyli go.

Łzy zakręciły jej się w oczach, głos się załamał. Przytuliła się mocniej do mnie, chowając głowę w zagłębieniu mojego ramienia. Pogłaskałam ją po włosach.

– Jak to, zniszczyli?

– Konrad otworzył drzwi i wołając te swoje „zaklęcia” wszedł do środka. Wtedy drzwi zatrzasnęły się za nim, prawdopodobnie przez przeciąg, w upalne dni zawsze zostawiam balkonowe drzwi na piętrze otwarte. Ale spanikowany Konrad, nie mogąc poradzić sobie z otwarciem drzwi zaczął krzyczeć, że demon go trzyma. Ludzie rzucili się hurmem i wywalili drzwi z zawiasów. Co się w środku działo, nie wiem, ponieważ nie mogłam się tam dostać. Wołałam, żeby opamiętali się, ale wiesz, jak jest z tłumem w amoku... Ktoś w końcu albo zaproszył ogień, albo umyślnie podpalił...

Straż ogniowa, choć przyjechała dość szybko, nie potrafiła porazić siebie z pożarem. Straciłam dom.

Widziałem, że kobieta przeżywa wszystko od nowa i ogarnęło mnie współczucie. Przygarnąłem ją mocniej do siebie, delikatnie gładząc ją po policzkach, po szyi... Magda prawie tego nie zauważyła. Była pochłonięta opowieścią.

– Konrad chciał, abym przeniosła się na „farmę”, ale ja nie chciałam. Nienawidziłam ludzi, którzy zniszczyli mi wspomnienia. Postanowiłam przenieść się do miasta, gdzie była matka, pod pretekstem stałej nad nią opieki. Konrad nie mogąc rozstać się ze swoją społecznością, w której był „guru”, postanowił opuścić mnie. Rozwód odbył się szybko i bezboleśnie, zwłaszcza, że nie mieliśmy dzieci. Na początku myślałam, że rozstanie sprawi mi ulgę. Po niedługim czasie okazało się, że mam problemy z samotnością. Postanowiłam znaleźć kogoś, kto byłby moim towarzyszem, starannie jednak unikałam wszelkich „nawiedzonych” społeczności.

– Znalazłaś kogoś?

Roześmiała się.

– Nie dasz wiary, ale... nie mogłam znaleźć. Owszem, spotykałam się z różnymi mężczyznami, lecz z żadnym nie dochodziło do niczego poważnego. To wyglądało tak, jakby niewidzialny opiekun zazdrośnie zamykał każdemu dostęp do mnie. Kiedy wszystko wskazywało, że spotkanie dojdzie do skutku, nagle okazywało się, że jeden z drugim mają nagle jakiś ważny wyjazd, staje się wypadek, komuś komórka wysiada, spóźnienie na pociąg... doszło do tego, że każde moje kolejne umówienie się zaczęłam traktować ze stoickim spokojem, będąc przekonana, wręcz rozbawiona tym, że kolejny człowiek nagle będzie miał manko w biurze, lub awarię pojazdu, którym już do mnie jechał.

– Podejrzewasz, że to sprawka twego anioła?

– Jeśli rzeczywiście wtedy poślubiłam go... ale przecież w Piśmie napisane jest, że aniołowie ani się nie żenią, ani za mąż wychodzą...

– Może są wśród aniołów wyjątki, tak jak wśród ludzi? Może istnieją tacy desperaci, którzy postanawiają porzucić bezzenny stan dla... śmiertelnika? Lub nie wolno im się tylko żenić między sobą?

– Desperaci? Anioły z fantazją, taką, która pozwala im pokonać bariery? Z fantazją podobną do tej, która kazała mi i Paulinie odbyć ślubne misterium?

– Może... – uśmiechnąłem się. – A może jedyne, co przeszkadza aniołom złączyć się z człowiekiem, to brak woli połączenia? A jeżeli w jednym czasie oboje zapragną tego samego...

– Zastanawiam się tylko...

– Nad czym, Magdaleno?

– Dlaczego ten mój opiekun pozwolił mi spotkać się z tobą? Pozwolił, bym bez wypadku przyjechała do ciebie, tuliła się do ciebie, nawet... całowała...

Nie odpowiedziałem. Spragnione usta kobiety były słodkie jak winogrona. Cała była jak owoc wyłuskany z wilgotnych liści, gorący od słońca, jakie w niej płonęło. A kiedy już spała w moich ramionach, szepnąłem w jej kasztanowe pukle włosów:

– Nawet aniołowie potrzebują do pełnego szczęścia... spełnienia. Moja Magdaleno... moja żono.

Boże narodzenie

Siedzieli na skraju dachu wysokiego biurowca wznoszącego się nad rozjarzoną światłami metropolią. Granatowe niebo zaczęło zasnuwać się sinymi chmurami zwiastującymi kolejny opad puszystego śniegu. Z wysoka miasto wyglądało dość atrakcyjnie. Kolorowe neony rzucały migający blask na zaspę odgarniętego na pobocza śniegu, sylwetki ludzi znikwały i pojawiały się przed witrynami sklepów, nawet klaksony śpieszących się samochodów brzmiały wesoło i z lekką nutą figlarności.

– Mija kolejny rok – westchnął Ron nachylając się, by zajrzeć w okno ostatniego piętra biurowca. Ludzie sprawiali wrażenie zaferowanych pracą. Jakaś kobieta przyciskając do piersi plik kartek maszynopisu w pośpiechu dopijała kawę, by następnie zderzyć się w drzwiach z wchodzącym właśnie szefem produkcji. Powietrze wrzało od mniej lub bardziej skrywanych emocji, ekspientka w markecie po drugiej stronie ulicy próbowała pogodzić potrzebę szybkiego obsłużenia flegmatycznego klienta z pragnieniem uporządkowania listy zakupów, jaka tworzyła się w jej umyśle.

– To mija rok dla tych ludzi, nie dla nas – odparł Goodnel.

– Masz rację. Ale najzabawniejsze jest to, że to jest dla nich najlepszy czas, by sobie uświadomić, jak wiele w tym roku zaniedbali i ile okazji utracili bezpowrotnie. Czy potrafią nadrobić wszystko w przeciągu kilku dni?

– Nie sądzę. Presja mijanego czasu będzie ich w tym tylko hamowała. No cóż, ale przynajmniej choć kilku z nich damy szansę.

Ron pokiwał głową. Zawsze lubił pomagać, ale nawet przyjacielowi nie zwierzył się, jak duże trudności sprawia mu zetknięcie się z ludzkimi problemami. Nie mówiąc o tym, że nigdy nie był pewien, czy rozwiązanie, jakie w takich sytuacjach proponował było najlepszym wyjściem z sytuacji. Co prawda SzeF nigdy się na niego nie skarżył, ale nie słyszał również z jego ust słowa pochwały. Jedyne, co wydawało o nim opinię to dalszy pomyślny rozwój akcji. Problem był tylko w tym, że nie wiedział nigdy, na ile jest to jego zasługa, a na ile ludzi, z którymi miał kontakt.

– Chyba już czas na nas – wyrwał go z zamyślenia głos Goodnela. – Co prawda nie widać gwiazd, ale pierwsza już powinna dawno zjawić się na niebie. Ruszamy w drogę. Za drugą przecznicą rozdzielamy się. Koło północy spotkanie w umówionym miejscu.

– W porządku – Ron wstał i otrzepał ze śniegu ubranie. Skierował się w stronę drabinki. Zanim jednak postawił nogę na pierwszym szczeblu dobiegł go z oddala cichy głos przyjaciela:

– Powodzenia, Ron. I pamiętaj, uwierz w siebie.

Zaskoczony obejrzał się. Czyżby Goodnel wiedział o jego rozterkach? Ale na dachu nie było już nikogo. Trudno, będzie miał czas o to zapytać przy kolejnym spotkaniu. Westchnął ciężko i zaczął schodzić w dół.

Marta dokończyła wycierać talerze i zdjęła fartuch. Zapatrzyła się w biel porcelany, a potem szczególnie starannie złożyła ścierkę, jakby pragnąc tymi pedantycznymi gestami zagłuszyć myśli, jakie uparcie krążyły jej po głowie. No tak, jak zwykle wyjęła z szafki sześć talerzy. Nawyk z wielu lat po raz kolejny zranił ją głęboko. Tym razem jednak rana była boleśniejsza z powodu uroczystej wigilii, którą będą musieli zjeść sami. Potrząsnęła głową

i na siłę otworzyła oczy. Nie może pokazać Wiktorowi, jak cierpi. Musi być silna. Schowała cztery talerze, a potem jakby zawstydzona na powrót wyjęła jeden. O mały włos, a zapomniałaby o tradycji dodatkowej zastawy dla przypadkowego wędrowca.

Wzięła wazę z parującą zupą i weszła do pokoju. Wiktor siedział w kącie pokoju w swoim ulubionym fotelu zapatrzony w jęczącą się lampkami choinkę. Słyszał kroki Marty, ale nawet nie spojrzął na nią. Stała niezdecydowanie przy stole.

– Wiktor.

Cisza. Wreszcie powoli odwrócił głowę.

– Wiktor, czas rozpocząć wigilię.

Podniósł się, ale zamiast podejść do stołu podszedł do okna. Odsunął firankę i zapatrzył się w mrok. Śnieg sywał wielkimi płatami, ograniczając pole widzenia do kilku zaledwie metrów. Z sąsiedniego budynku dobiegała melodia kolęd przerywana co chwilę wybuchami głośnych okrzyków radości. Marta stanęła za mężem.

– U Graczyńskich już zaczęli wigilię.

Nie odpowiedział. Zawsze był milczący, ale nigdy jego milczenie nie było dla Marty tak nieznośnie, jak przez ostatni miesiąc.

– Wiktor, proszę... zupa stygnie.

Odwrócił się i posłusznie usiadł do stołu. Przyniosła talerze i rozlała barszcz. Zupa krwistym śladem zaznaczyła swoje brzegi na białej porcelanie. Słysząc było tylko metaliczny stukot chochli i chlupot wpadających do talerzy pierogów z grzybami.

– Może puszczyć kolędy? – zaproponowała nieśmiało, ale Wiktor potrząsnął przecząco głową.

– Przeczytasz fragment o Narodzeniu Jezusa? – zapytała ponownie czując się coraz bardziej zmęczona podejmowaniem inicjatywy w rozmowie. Kiedy nie odpowiedział, sama ujęła książkę w czarnej okładce i otworzywszy na zakładce zaczęła czytać:

– A z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak: Gdy matka jego, Maria, została poślubiona Józefowi, okazało się, że, zanim się zeszli, była brzemienna z Ducha Świętego. A Józef, mąż jej, będąc prawym i nie chcąc jej zniesławić, miał zamiar potajemnie ją opuścić. I gdy nad tym rozmyślał, oto ukazał mu się we śnie anioł Pański i rzekł: Józefie, synu Dawidowy, nie lękaj się przyjąć Marii, żony swej, albowiem to, co się w niej poczęło, jest z Ducha Świę-

tego. A urodzi syna i nadasz mu imię Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów jego.

Przerwała czytanie i spojrzała na Wiktora. Słowo „syn” zawsze napawało ją dumą i radością. Do tej pory pamiętała chwilę, gdy położna z uśmiechem nachyliła się nad jej łóżkiem i powiedziała jej, że kilkanaście godzin trudnego porodu zakończyło się wydaniem na świat dużego i silnego syna. Ile to już lat minęło? Trzydzieści? W styczniu będzie już trzydzieści jeden... Westchnęła i podjęła na nowo czytanie:

– A to wszystko się stało, aby się spełniło słowo Pańskie, wypowiedziane przez proroka: Oto panna pocznie i porodzi syna, i nadadzą mu imię Immanuel, co się wykłada: Bóg z nami.

– Bóg z nami – powtórzył za nią cichym, zachrypłym szeptem. Odchrząknął i sięgnął po leżące na stole opłatki. Odłożyła Biblię i przyjęła z jego rąk jeden opłatek. Dłuższą chwilę wpatrywali się we wzór dywanu, a potem Wiktor podniósł głowę.

– Nie wiem, czego Marto ci życzyć – podjął w zamyśleniu. – Do tej pory życzyłem ci zawsze zdrowia, szczęścia, pociechy z wnuków... teraz mogę ci życzyć jedynie ukojenia w zapomnieniu.

– A czy ty... potrafisz zapomnieć?

– Nie wiem, Marto. Staram się, ale to jest jeszcze zbyt świeże. Zbyt boli. I proszę cię, nie zadawaj mi takich pytań.

Ułamała kawałek opłatka.

– A ja ci życzę Wiktorze, abyś odnalazł radość.

Ucałowali się i usiedli do stołu. Nagle odniosła wrażenie, jakby to nie była wigilia, ale stypa. Jakby to nie było narodzenie, ale śmierć.

– Boże – pomyślała. – Uczyń coś, przecież dziś się narodziłeś, całe niebo się raduje, anioły, pasterze, bydło... a u nas zimno, ciemno, pusto. A przecież to dziś miało być – „Bóg z nami”...

Nagły dźwięk dzwonka u drzwi przestraszył ich. Spojrzeli po sobie zaskoczeni, nie spodziewali się przecież nikogo.

– Może to sąsiadka – Marta podniosła się od stołu. Jednak za drzwiami stał młody, trzydziestoparoletni mężczyzna. Kołnierz skórzanej kurtki podniesiony wysoko nie chronił go zbyt wiele. Śnieg wybielił mu włosy, wdzierał się za każdym podmuchem porwistego wiatru w szczeliny ubrania.

– Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

Marta niespokojnie oceniła jego postać. Często słyszała o nieznajomych, którzy wpiery sprawiali dobre wrażenie, potem okazywali się rabusiami i mordercami.

– Pan szuka kogoś?

– Najprościej mógłbym rzec, że zgubiłem się, ale to nie oddałoby całej prawdy. Myślę, że więcej wyjaśnię, jeśli pozwoli mi pani wejść do przedpokoju. Przynajmniej tam nie będzie tak sypało – uśmiechnął się z wysiłkiem, bo czerwone, odmrożone policzki utrudniały mu nie tylko mówienie, ale i wszelką mimikę.

– Proszę poczekać, zapytam męża – przytknęła drzwi i weszła do pokoju.

– Wiktorze, jakiś młody człowiek stoi przed domem i prosi o gościnę. Mówi, że się zgubił. Jest cały przemarznięty i wygląda, że jest sam.

– Na cóż więc czekasz? Żeby całkiem zamarzł? Zaprosz go do domu, niech się ogrzeje.

Marta szybko pobiegła do drzwi. Przeprosila za małe zamieszanie, ale – jak to określiła – nie jest sama, więc nie może podejmować decyzji bez konsultacji z mężem. Przybysz przyjął tłumaczenie z uśmiechem zażenowania twierdząc, że to on powinien przeprosić za najście w tak szczególny wieczór.

– Nic się nie stało, właśnie zaczynaliśmy kolację. A i według tradycji talerz dla pana jest przygotowany – roześmiała się nagle. Odpowiedział jej uśmiechem i wszedł do pokoju. Przywitał się z Wiktorem i usiadł przy stole. Marta naląła mu zupy i nastąpiło krępujące milczenie.

– Wspominał pan, że się zgubił...

Mężczyzna przytaknął.

– Można tak to określić. Przyjechałem dziś do miasta prawie z zaskoczenia, chciałem odwiedzić przyjaciół. Zrobiłem głupstwo, że wcześniej ich nie uprzedziłem, ale chciałem im zrobić niespodziankę. Niestety, okazało się, że wyjechali na święta. Nic innego nie mogłem zrobić, jak wrócić z powrotem, ale wiedzą państwo, jak jest z komunikacją w święta... ostatni autobus na dworzec uciekł mi sprzed nosa. Próbowałem złapać jakiś samochód, ale szosy są już puste, wszyscy przy wigilijnych stołach. Nie znam tu nikogo więcej, byłem więc

zmuszony zapukać do pierwszych drzwi. Akurat udało mi się, że trafiłem do tak gościnnych ludzi, za co jestem niezmiernie wdzięczny.

Wiktor potrząsnął głową, jakby zaprzeczając pochwałę, a potem stwierdził:

– W wigilię grzech byłoby nie przyjąć wędrowca do domu. Można wiedzieć, jak pan się nazywa?

– Mam na imię Robert, ale przyjaciele nazywają mnie Ron. Miło by mi było, gdybyście i wy tak mnie nazywali...

Goodnel podszedł do samochodu, który zaparkował w pobliżu miejskiego Domu Kultury. Właściwie, to nie musiał z niego korzystać, ale potrzebował upozorować całkowicie naturalną sytuację. Chwilę zajęło mu odśnieżanie, potem trochę mocował się przy zapalaniu silnika. Nie śpieszył się zbyt, wiedział dokładnie gdzie ma jechać i ile mu to zajmie czasu. W odróżnieniu od Rona był dokładny i systematyczny w swoim działaniu.

Po jakichś dziesięciu minutach jazdy opuścił rogatki miasta. Światła miejskie skończyły się, mokry, czarny asfalt pokrył się warstwą świeżego śniegu, nie rozjeżdżonego i nie posypanego piaskiem. Zwolnił trochę i zaczął pilnie przepatrywać pobocza drogi. Powinna gdzieś tu być... Jest! Mała postać otulona zimową kurtką wynurzyła się w świetle reflektorów z tumanów wirującego w powietrzu śniegu. Zatrzymał się obok i uchylił okno.

– Halo, proszę pani!

Odwróciła się osłaniając twarz od lodowatego wiatru. Czarne pasma włosów, które wysunęły się spod kaptura przylepiły się do mokrych, czerwonych policzków.

– Przepraszam, że zaczepiam, ale czy przypadkiem pani nie zabłądziła?

Potrząsnęła głową i cofnęła się do tyłu. Widać było obawę w jej ruchach, a jednocześnie pewną determinację.

– Może panią gdzieś podrzucić? Pogoda nie sprzyja samotnym spacerom.

Znów potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Spojrzał w ciemność rozciągającą się wokół nich i po chwili milczenia stwierdził:

– Z tego, co wiem, to najbliższa miejscowość znajduje się około dwudziestu kilometrów stąd. Czy jest pani pewna, że chce tam iść piechotą? Zanim pani tam dojdzie, to zamarznie w tej śnieżycy.

– Nie chcę iść do żadnej miejscowości – odparła trochę niegrzecznie i ruszyła przed siebie. Goodnel chwilę zastanawiał się, a potem wysiadł z samochodu. Podbiegł do kobiety i chwycił ją za rękaw.

– Proszę pani – zawołał usiłując przekrzyczeć szum wiatru. – Nie mam serca zostawiać panią tutaj na takim mrozie. Proszę, niech pani wsiądzie choć na chwilę do samochodu. Porozmawiamy, a potem zrobi pani, co będzie uważać, zgoda?

Kobieta zatrzymała się niezdecydowanie. Przez moment przyglądała się mężczyźnie, a potem skinęła głową i zawróciła do samochodu. Goodnel dokręcił szybę i chwilę zabijał zmarznięte ręce. Potem wyciągnął ze schowka termos z gorącą kawą i nalał do kubka. Przyjęła i podziękowała. Dopiero teraz było widać, jak się trzęsie z zimna.

– Mieszka pani niedaleko? Może panią podrzucę do domu?

– Nie mam domu – odparła szczękając zębami o krawędź kubka. Popijała małymi haustami patrząc nieobecny wzrokiem przed siebie.

– Nie rozumiem – Goodnel spojrzał pytająco. – Każdy ma gdzieś dom. W dodatku jest wigilia, więc nawet jak ktoś nie ma domu, to ma chociaż przyjaciół, którzy na ten wieczór przygarzną...

– Czy moglibyśmy nie rozmawiać o mnie?

– W porządku – oparł ręce o kierownicę. – Możemy nie rozmawiać, ale musi pani przyznać, że to dość niezwykła sytuacja. Nieczęsto spotyka się osobę, która wędruje w śnieżycy niewiedomo dokąd i nie wiadomo po co.

– Chyba prosiłam, aby nie rozmawiać o mnie?

– A ja chyba nie mówiłem, że jest pani dość nieuprzejma w rozmowie?

– Przepraszam, ale nie prosiłam się do pańskiego samochodu. Mogę w każdej chwili wysiąść.

– Hola, hola! – złapał ją za rękaw, bo już naciskała klamkę od drzwi. – Nie na to panią z tej zawiei wyciągałem, aby pusz-

czać tam z powrotem. Poprzestańmy w takim razie na rozmowie o mnie, choć to mało ciekawy temat.

Skinęła głową i znów zapatrzyła się w wirujące przed szybą samochodu płatki śniegu.

– Zacznijmy więc od przedstawienia się. Mam na imię Marcin i jestem nauczycielem geografii – wyciągnął rękę w jej stronę. Odруchowo uścisnęła ją:

– Magdalena.

– No to już coś o sobie wiemy – uśmiechnął się. – Proponuję, abyśmy zaczęli sobie mówić po imieniu, co pani na to? Przynajmniej ogrzeje to trochę atmosferę.

Obojętnie skinęła głową i pociągnęła łyk kawy.

– Pani Magdaleno, obawiam się, że jeśli nadal będziemy stać na tym poboczu, to będę miał problemy z jazdą gdziekolwiek. Mój samochód ma dość słaby akumulator... czy zgodzi się pani, abym zaprosił panią do jakiejś restauracji? Przydała by się nam mała kolacja wigilijna. Nie słyszę sprzeciwu, w takim razie przejdziemy się.

Silnik wbrew obawom gładko zapalił i Goodnel – obecnie pan Marcin – wykręcił ostrożnie na śliskiej jezdni i zawrócił w stronę miasta.

Ron korzystał z milczenia, jakie towarzyszyło świątecznej kolacji i przyglądał się małżeństwu, które go przyjęło pod swój dach. Ze spojrzeń rzucanych pomiędzy małżonkami domyślił się pozycji, jaką każde z nich zajmowało w rodzinie. Schludna, gładko zaczesana z nisko upiętym kokiem Marta w każdym szczególe podporządkowana była swemu mężowi. Jednakże Wiktor jakby tego nie zauważał. Zamknięty w sobie, mało uśmiechający się przyjmował jej usługę bez słowa podzięk. Ale to Marcin nie przeszkadzało, zdawać by się mogło, że jest do tego tak przyzwyczajona, że nawet jego milczenie odbiera jako podziękowanie. Dyskretnie rozejrzał się. Ciemnowiśniowy segment wypełniony błyszczącymi szklankami na białych szydełkowych serwetkach, na ścianach rozwieszono pamiątki z zagranicznych wycieczek. Holandia, Grecja, Hiszpania... Pomyślał, że jest to dobry pretekst do rozmowy.

– Widzę, że państwo często podróżowali. Wyjazdy służbowe, czy prywatne?

– Nie, to pamiątki przysyłane nam przez syna – wyjaśniła Marta. – Często wyjeżdżał na delegacje za granicę. Był bardzo zapracowany, ale w podróży zawsze pamiętał o nas.

– To bardzo miłe. W obecnych czasach rzadko się takich spotyka, wszyscy są zabiegani. Mają państwo dobrego syna.

– Mielśmy – stwierdził Wiktor twardo, jakby chcąc zmienić tor rozmowy. Marta spojrzała z lekkim przestachem, a potem zażenowana nachyliła się do gościa i półgłosem powiedziała:

– Przepraszam, niedawno mieliśmy ciężkie doświadczenie. Syn i synowa z dziećmi zginęli w wypadku samochodowym. Jeszcze nie otrząsnęliśmy się z tego.

– Marto – Wiktor podniósł karcąco głos. – Nie podejrzewam, by naszego gościa interesowały nasze prywatne sprawy.

Zapanowała niezręczna cisza. Ron zacisnął pod brusem pięści i bezradnie zaczął się zastanawiać, jak ma wypełnić swoje zadanie, skoro taki opór jest w tym człowieku. Jak przełamać ból, by tym samym nie pogłębić cierpienia. A może jeszcze jest za wcześnie? Czemu więc teraz i czemu właśnie on, skoro ma tak wielkie problemy w kontaktach z ludźmi...

– Rozumiem, że to, co państwo przeżyli, jest zbyt bolesne, by o tym rozmawiać. I wiem, że trudno o tym rozmawiać, zwłaszcza z kimś, kto jest obcy. Ale chcę powiedzieć, że jestem chętny porozmawiać z wami. Czasem potrzeba kogoś z zewnątrz, by móc się wyzwolić z tego, co głęboko siedzi i co sprawia ból.

Marta opuściła głowę, by ukryć łzy, jakie zaczęły cisnąć się jej do oczu. Widać było w niej wielką potrzebę wyrzucenia z siebie nagromadzonych i głęboko skrywanych uczuć. Nie czyniła tego jedynie ze względu na męża. I tym razem podniosła na niego wzrok, jakby w niemym zapytaniu. Kiwnął przyzwalająco głową, więc zaczęła mówić łamiącym się co jakiś czas głosem.

– Sebastian był bardzo dobrym synem. Bardzo nam go brakuje. I nie tylko jego. Monika, moja synowa i dwójka ich dzieci wprowadzały radość i życie w nasz dom. Odkąd zdarzył się ten wypadek... ale pan nie wie, co się stało. To było w listopadzie. Byli unas na Wszystkich Świętych i wracali do domu. Nawet nie po-

dejrzałam, kiedy ich żegnałam, że już ich nie zobaczę. Był bardzo duży ruch na drodze, wszyscy śpieszyli się po Świętach. Jeden z kierowców jadący z naprzeciwka wjechał na drogę na trzeciego... nie zmieścił się. Sebastian chcąc uniknąć zderzenia stracił panowanie nad kierownicą. Uderzyli w drzewo...

Ron słuchał tego i smutek wypełniał go jak ciemność. Bezradność. Brak jakiegokolwiek porady. Jak im pomóc? Jakim słowem rozluźnić zaciśnięte w bólu pięści Wiktora, jak pocieszyć matkę, która straciła światło swoich dni?

– Proszę mówić dalej – rzekł cicho.

– Cóż mogę powiedzieć? Czy to, że do tej pory nie możemy pogodzić się z tym, że ich nie ma? Że wszystko, co nas otacza przypomina ich gesty, słowa, że pamiętam bieganie dzieci po pokojach, piski radości, że nie potrafię nawet wejść do piwnicy, bo stoi tam warsztat mego syna? Że nie potrafimy wyjść do sąsiadów, bo nie możemy patrzeć na ich szczęśliwą rodzinę, nie możemy słuchać o problemach, jakie mają ich dzieci w szkole?

– Marto – Wiktor położył dłoń na jej gniotącej obrus w rozpaczy ręce. – Marto, uspokój się.

Spuściła głowę i rozplakała się.

– Przepraszam – załkała. – Nie mam z kim o tym porozmawiać. Ostatnio nie rozmawiam o tym nawet z Bogiem.

– Czemu nie rozmawia pani z Bogiem? – podchwycił Ron.

– Myślę, że on najlepiej panią zrozumie. On przecież też stracił syna.

– Nie rozumie pan. Bóg nie stracił syna. Jezus żyje i jest teraz ze swym ojcem. A ja nie mam Sebastiana i to Bóg jest tym, który zezwolił, aby on odszedł!

Wiktor obtarł usta chusteczką i podniósł się od stołu.

– Myślę, że mógłbym panu pomóc dostać się na dworzec. Pójdę uruchomić samochód.

Kiedy wyszedł, Ron spojrział na Martę.

– Przepraszam, czy przypadkiem nie uraziłem pani męża?

– Nie – Marta potrząsnęła głową. – Myślę, że to raczej z mojego powodu. Do tej pory nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym szczerze. Jak pan zdążył zauważyć, mój mąż raczej unika okazywania emocji.

Uspokojony Ron podjął temat.

– Powiedziała pani, że to Bóg zezwolił na odejście pani syna. Czy nie ocenia pani Boga zbyt pochopnie?

– Nie. Uważam, że to wina Boga, że ten wypadek się zdarzył. Nie rozumiem tylko, dlaczego właśnie Sebastian. Był tak dobrym człowiekiem. Tylu złych ludzi chodzi po świecie i nie dzieje im się nic złego, wręcz odwrotnie. Dlaczego Bóg nie zadziałał i nie uchronił Sebastiana?

– Może nie mógł...

– Jak to nie mógł? – podniosła głos ze wzburzeniem. – Przecież jest wszechmocny! Przecież nie ma dla niego nic niemożliwego.

– Pani Marto – Ron starał się cichym głosem uspokoić jej emocje. – Wybacz pani, że tutaj będę starał się bronić Boga. Zazwyczaj obwiniamy Boga, że nie działa, ale dzieje się to wtedy, kiedy nam jego postępowanie nie pasuje. Mówimy wtedy – „Dlaczego nie uczyniłeś tak, albo inaczej, my chcielibyśmy to mieć w ten sposób”. Ale kiedy nam coś pasuje, to mówimy – „lepiej, jak nie będziesz się wtrącał – jeśli nie będziesz Wszechmocny”.

– Nie rozumiem...

– Widzi pani – tłumaczył Ron. – Czasem i Bóg jest związany. Ten Wielki Wszechmocny, który potrafi wszystko – jest związany tym, że dał każdemu wolną wolę. Tym, że każdego człowieka kocha jednakowo. Niech pani pomyśli, tyle istnień, zachowań wpływających jedno na drugie, a Bóg musi to wszystko pogodzić. I to tak, aby nie skrzywdzić, lecz by odwrócić na dobre. Wiem, że ciężko pani bez syna. Ciężko i pani mężowi. Ale czy i Bogu nie było ciężko, kiedy jego syn umierał? Widzi pani, Bóg często jest związany tym, że czasem i my mówimy do Boga – nie bądź wszechmocny i nie powstrzymuj nas od grzeszenia! A potem...

– Jezus umarł za karę, za nas – przerwała mu Marta. – To wiem. I wiem, że za dobre Bóg wynagradza, a za złe karze. Nie rozumiem tylko jednego, czy ich śmierć była nagrodą czy karą?

– Nie była ani nagrodą, ani karą. To będzie dopiero na sądzie Bożym.

– Więc jak rozumieć ich śmierć?

– Jako odpoczynek. Oni czekają na świat który ma nadejść, lepszy świat. Może nawet im jest lepiej niż nam, bo my zostajemy

z tęsknotą za nimi, a oni teraz odpoczywają, a potem wstaną do lepszego życia – bez chorób i grzechu.

– Dlaczego nie mogę odejść wraz z nimi – wyszeptwała z bólem.
– Tak bardzo chciałabym odpocząć obok nich.

– Dlatego, że jest pani tutaj potrzebna – Ron położył dłoń na jej ramieniu. – Może obok pani mieszka człowiek, który tak samo cierpi w samotności. Może potrzebuje, by ktoś się nim zaopiekował. Niech pani się nie zamyka w swoim bólu. Otwórzcie się oboje. Jesteście potrzebni innym.

Z przedpokoju wyjrzał Wiktor.

– Samochód jest już gotowy. Mogę pana zawieść na dworzec.

Ron podziękował i ubrał się. W drzwiach zatrzymał się jeszcze i spojrzał na Martę.

– Powinna pani jednak porozmawiać z mężem. Jest takie powiedzenie, że radość dzielona we dwoje jest podwójną radością, a dzielony smutek jest połową smutku. Życzę pani wszystkiego dobrego.

Goodnel przytrzymał drzwi restauracji, by przepuścić przed sobą Magdę. Sala przyjęła ich ciepłym oddechem parujących potraw, które stały na pokrytych białym obrusem stolikach. Pociągnął nosem i rzekł wesoło:

– Jak czuję takie zapachy, to robię się dwa razy głodniejszy. Pozwól, że zaniosę twoją kurtkę do szatni.

Magda zachowywała się jak bezwolny automat. Pozwoliła się rozebrać, posadzić przy stoliku, wsadzić do ręki kartę ze spisem potraw. Goodnel wracając z szatni przyglądał się jej uważnie. Ładna, ciemnowłosa dziewczyna, nie mająca prawdopodobnie jeszcze trzydziestu lat. Ciemny sweter tuszujący nadmierne w pewnych miejscach krągłości tworzył kontrast do jej bladej, smutnej twarzy. Zastanawiał się, co najbardziej zainteresowałoby taką dziewczynę. Podejrzewał, że nie banalne pogonie za modą, czy kosmetykami, nie wyglądała na taką, raczej była typem wrażliwej intelektualistki. Usiadł naprzeciw i wziął menu do ręki.

– Czy już pani coś wybrała dla siebie?

– Nie, nie mam za bardzo apetytu... może pan coś wybierze.

– No to może w takim razie coś tradycyjnego – skinał na kelnera. Ten przyjął zamówienie i odszedł, a Goodnel spojrzął Magdalenie głęboko w oczy.

– Pani Magdo... – zaczął bardzo poważnym tonem, tak poważnym, że aż ocknęła się z zamyślenia i popatrzyła na niego. – Mam nadzieję, że uczyni mi pani tę uprzejmość i sprawi, że mój dzisiejszy wieczór będę wspominał mile. Nie chciałbym, aby pani nastrój – jakakolwiek była jego przyczyna – zepsuł nam nasze spotkanie. Zrobi to pani dla mnie? Proszę.

Dziewczyna zmieszła się.

– Przepraszam pana. Nie zamierzałam psuć panu wieczoru. Tak naprawdę, to wolałabym, aby pan mnie pozostawił tam, na drodze.

– Myśli pani, że mógłbym z czystym sumieniem pozwolić pani na utknięcie w zaspie śniegu?

– Może tak trzeba. Czasem nie warto zajmować się drugim człowiekiem.

– Co też pani mówi! – zawołał ze zdumieniem Goodnel. – Każdy człowiek wart jest tego, by się nim zajmować. Każdy człowiek wart jest tego, aby go kochać.

– Nie powinno się kochać. Z miłością są same problemy – odparła gorzko. – Albo się kocha za mało, albo za dużo, albo nie w porę. Nie powinno się kochać.

Zamilkli, bo kelner przyniósł zamówione danie. Skupili się przez chwilę na posiłku, a potem Goodnel podjął temat:

– Mówi pani, że nie powinno się kochać... a jaki byłby świat bez miłości? Bez dawania i brania, bez ofiarności, w ciągłym kołowrocie interesów. Ja daję tobie, abys ty mi dał... a co się stanie, jeśli nie będę miał nic, by zaoferować w zamian? Co się stanie, jeśli świat zamknie się w kole własnych zapotrzebowań? W pewnym momencie zaczniesz wyrzucać wszystkich z gry. Po kolei, jeden za drugim będzie odpadać, bo się wypali, bo nie będzie mieć nic do zaproponowania. I świat umrze.

Zapatrzył się w okno restauracji, a potem wskazał palcem nielicznych przechodniów.

– Niech pani popatrzy na tych ludzi. Przez ostatnich kilka dni biegali jak zwariowani po sklepach, po urzędach po to tylko, by

kupić cośkolwiek na prezent. A teraz chodzą od domu do domu, od człowieka do człowieka po to tylko, by zobaczyć uśmiech na twarzy obdarowanego. Czy mają jakiś w tym interes? Może niektórzy mają, ale jest ich niewiele. Większość pragnie po prostu sprawić przyjemność, pokazać tym, że pamiętają, że kochają...

Magda milczała. Patrzyła na niego i słuchała. Kontynuował więc dalej:

– Mówi się czasem, że Święta Bożego Narodzenia to jedno wielkie święto obżarstwa. Że ludzie zastawiają stoły, wymyślają niepotrzebne czasem rzeczy by sobie dogodzić – ale to nieprawda. Wie pani, co jest istotą tych Świąt?

– Nie wiem. Proszę powiedzieć.

– Boże Narodzenie to przede wszystkim poszukiwanie Miłości. Poszukiwanie w sobie samym – dla cioci z reumatyzmem, dla wujka, którego nie widziało się od roku, dla teściowej, z którą nie można się na co dzień dogadać. Poszukiwanie jej w innych, w sąsiadce, która zwykle czepia się o kapiącą wodę z podlanych kwiatów, w stolarzu, który nie wywiązał się z terminów. W tym dniu spodziewamy się znaleźć miłość, tę, której nam najbardziej brakuje.

– To prawda – odparła Magda w zamyśleniu. – A co się stanie, jeśli nie znajdziemy jej w mężu, który woli wyjechać do innej kobiety, w szefie, który nie uznaje sentymentów, w ojcu, który nawet w święta nie potrafi znaleźć miłego słowa dla swego dziecka?

– Wtedy pozostaje tylko jedno – odparł Goodnel nachylając się do niej przez stół. – Należy w sobie odnaleźć miłość... dla siebie samego. Zrozumieć, że twoja wartość nie zależy od tego, jak na ciebie patrzą i jak cię oceniają. Zobaczyć, że Jezus w betlejemskiej stajni narodził się przede wszystkim dlatego, że jesteś tego warta. Po prostu dlatego – że jesteś. Rozumiesz?

Wyjął z flakoniku mały, niepozorny kwiatek o różowym kielichu i podał jej. Uśmiechnęła się.

– Czasem powinna się pani uśmiechnąć do lusterka. Nawet nie wie pani, ile uroku dodaje pani uśmiech.

Kolacja dobiegała końca. Magda podziękowała i wstała od stołu. Zapytał, czy podać jej płaszcz, ale odmówiła.

– Tym razem już sobie poradzę – odparła. – Chciałam tylko na koniec coś panu powiedzieć.

– Słucham?

– Nie mówiłam panu o tym, ale kiedy spotkaliśmy się tam, na drodze...

– ...Wtedy?

– Szłam po to, by skończyć ze sobą. Nie miałam ochoty już żyć. Dzięki Panu zrozumiałam, ile jestem warta. I nie chodzi już o to, ile jestem warta dla kogoś, czy potrzebuje mnie mąż, przyjaciel, pracodawca... Zrozumiałam, ile jestem warta dla samej siebie. Dziękuję. Uratował mi Pan życie, choć może sam o tym nie wiedział.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i skierowała się do wyjścia. A Godnel patrząc za nią szepnął:

– Wiedziałem, Magdaleno. Dlatego do ciebie przybyłem.

A potem skinął na kelnera, by zapłacić za rachunek. W żadnym razie nie mógł zniknąć tak sobie pozostawiając za sobą jakikolwiek dług. Przecież aniołowie słyną ze swojej uczciwości...